TYGODNIK LWOWSKI



Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow.“		
rocznie	6 złr.	— ct.
półrocznie	3 „	— „
ćwierćrocznie	1 „	50 „
Zeszyt miesięczny	— „	60 „
Pojedynczy numer	— „	20 „

Nr. 4.

3. Listopada 1867.

Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową:		
rocznie	7 złr.	— ct.
półrocznie	3 „	50 „
ćwierćrocznie	1 „	80 „
W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocz.	1 tal.	15 sgr.
We Francji ćwierćrocznie	6	franków.

Leszek Dunin Borkowski.

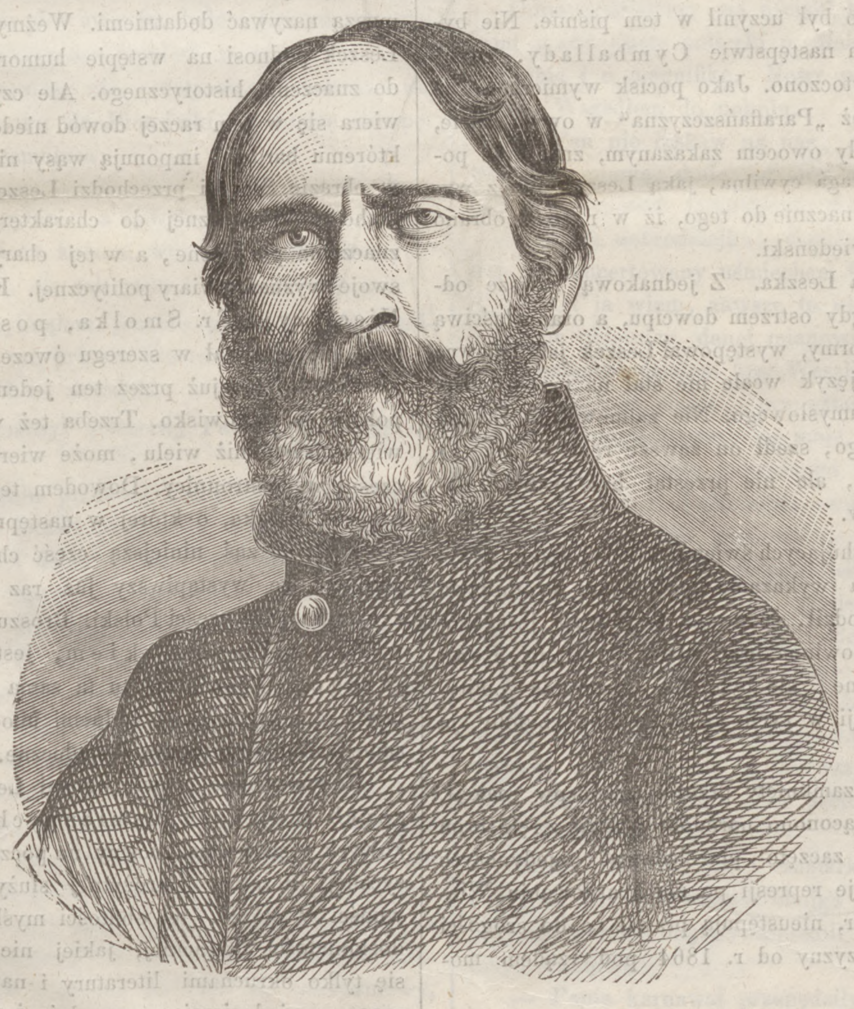
I.

Był czas, kiedy pod „L e s z k i e m“ nierozumiano w kraju naszym, mianowicie w kołach wykształceńszych nikogo innego, jak L e s z k a B o r k o w s k i e g o, pomimo że Leszków mnóstwo było w różnych kołach towarzyskich, z najrozmaitszemi nazwiskami.

Borkowski był to ów Leszek *„par excellence,“* którego jedni kochali, drudzy nienawidzili i bali się, a wszyscy znali jako jedynego w swoim rodzaju pisarza, któremu nikt nie mógł odmówić pierwszorzędnych zalet pisarskich.

Jak wszystkie umysły twórcze i samoistne, zaczął Leszek zawód swój literacki od poezji, a chociaż się rzucił pierwej na inne pole, nie opuściła go nigdy pierwotna twórczość i samoistność zdania. Leszek należał do tego nielicznego grona literatów, którzy w najniepomyślniejszych dla naszego piśmiennictwa czasach, mieli odwagę budzić życie umysłowe w kraju, w całym narodzie, mieli odwagę być literatami, kiedy każdy literat polski przez rząd był uważany za podejrzanego człowieka, a w obec znacznej części publiczności za człowieka, co najmniej niepraktycznego, jeżeli nie zgoła za półgłówka.

Potęgą talentu i pracą obok nieustraszonej wytrwałości, zdobyli ci ludzie pierwsi dla literatów polskich w naszym kraju poważanie i znakomity wpływ na stosunki towarzyskie. Ze skromnego „D z i e n n i k a m ó d,“ założonego przez krawca, Tomasza Kulczyckiego, uczynili obaj B o r k o w s c y (Józef i Leszek) wraz z A u g u s t e m B i e l o w s k i m, D o m i n i k i e m M a g n u s z e w s k i m i innymi pismo, które pomimo więzów cenzury, zjednało sobie było znaczenie pierwszego pisma na całą Polskę. Należy wszakże podnieść tę okoliczność, że jakkolwiek pismo to było i musiało być wedle swego przeznaczenia lekkiem co do treści i formy, to jednak mężowie, którzy nim kierowali, oddawali się poważnym pracom naukowym. Jak Józef Borkowski był jedynym na nasz kraj polskim helenistą i orientalistą, tak Leszek pracował w literaturze sanskryckiej, a komuż nieznana historyczna erudycja Bielowskiego?



Leszek Dunin Borkowski.

Studjum klasyków obcych i polskich, starożytnych i nowszych wpłynęło niezawodnie stanowczo na tych pisarzy o tyle, że obok mistrzowskiego władania językiem, posiadali tę dojrzałość zdania, która się nie nabywa z natchnienia poetycznego, ale przez długoletnie doświadczenie albo naukę. Nauka zastąpiła to doświadczenie, którego ani wiek ani okoliczności nie dozwalały nabyć. Dowiódł tego Leszek w swoich pismach, które cechuje zawsze, przy całej lekkości formy, głęboka myśl przewodnia i dążność obyczajowa. Ubiegały się o jego współpracownictwo nieliczne wtedy wychodzące pisma, a mianowicie spotkać można było niejeden jego artykuł w „T y g o d n i k u l i t e r a c k i m“ (wychodzącym w Poznaniu), znakomitem piśmie pod względem doboru artykułów i celności współpracowników. Pismo to wszakże zakazane w Austrji, było tylko małemu kółku znane. Mało też kto miał sposobność poznać się z wielkim zasobem sarkazmu i dowcipu

iskrzącego, którym Leszek już w tem piśmie zaprawiał swoje artykuły. Galicja znała go jako autora poematów i jako sanskrycistę, toż jak piorun z jasnego nieba, spadła na salony galicyjskie niespodzianie i przerażająco: Parafjańszczyzna.

Była w tem rzeczywiście odwaga: pod cenzurą austrjacką, a jeszcze do tego lwowską, napisać rzecz, wystawiającą w całej nagości wszystkie wady naszego tak zwanego wyższego towarzystwa i poddać je pod najstraszniejszą chłostę sarkazmu. Są tam pojedyńcze postacie, podniesione do znaczenia typów, a tak dobitnie uwydatnione, że każdy, poczuwający się w głębi sumienia do jednej z wychłostanych tam wad, ujrzał mimowoli w tym lub owym typie siebie samego i uczuł od razu wszystkie ciosy nielitościwego sarkazmu. Toż powstała na „Parafiańszczyznę“ wrzawa niesłychana. Nie zdarzyło się nigdy przedtem cenzurze austrjackiej, aby jej opinja zarzucała zbytnią pobłażliwość. „Parafiańszczyzna“ dokazała, czego nikt nie dokazał, że Sacher wydał się w pewnych kołach nadto liberalnym człowiekiem. Wydarzył się niepraktykowany wypadek, że cenzura austrjacka musiała cofnąć swoje „*Imprimatur*“ wobec nacisku całej koterji, poczuwającej się do parafiańszczyzny.

Ta wojna przeciw „Parafiańszczyźnie,“ była oraz najlepszą jej krytyką, najlepszą jej pochwałą. Nazwali ją jedni paszkwilem — bo była w niej prawda; drudzy cieszyli się, że Leszek wywiązał się tak świetnie z zadania, o którego spełnienie kusił się nie jeden nadaremnie. W ogóle zrobiła „Parafiańszczyzna“ dla tego tak silne wrażenie, bo ma wartość obyczajową i literacką. Zakaz „Parafiańszczyzny“ we Lwowie miał ten skutek, że wyszła w obszerniejszem wydaniu za granicą, niżby zapewne była wyszła jako szereg artykułów w „Dzienniku mód,“ oraz że Leszek puścił niezawodnie wolniejsze wodze swemu sarkazmowi, niżby to był uczynił w tem piśmie. Nie byłaby ona może miała w dalszem następstwie Cymballady, gdyby nie wojna, jaką przeciw niej wytoczono. Jako pocisk wymierzony na tak zwaną arystokrację, miała też „Parafiańszczyzna“ w owym czasie, kiedy polityka i publicystyka były owocem zakazanym, znaczenie polityczne. To jej znaczenie i odwaga cywilna, jaką Leszek przez wydanie jej okazał, przyczyniły się znacznie do tego, iż w r. 1848 obrano go posłem ze Lwowa na sejm wiedeński.

Otworzyło się nowe pole dla Leszka. Z jednakową zawsze odwagą cywilną, z niestępiałym nigdy ostrzem dowcipu, a oraz właściwą sobie oryginalnością pomysłów i formy, występował Leszek jako mowca na sejmie, gdzie mu niemiecki język wcale nie stał na przeszkodzie w rozwinięciu swego bogactwa umysłowego. Nie zajmował tu Leszek odrębnego stanowiska politycznego, szedł on zawsze ręka w rękę ze stronnictwem liberalnem polskim, ale nie przestał być bystrym dostrzegaczem wad swoich rodaków.

Z mów, odznaczających i cechujących świetnie talent Leszka, przypominamy mowę, gdzie on dla wykazania rządowemu stronnictwu niedorzeczności jego dążeń, dowodził, że armja w Austrji jest osobnym narodem, i że jako taki powinna brać udział w sejmie. Rozumowanie to, na pozór parodoxalne, nie było bez znaczenia politycznego; wciągnięcie bowiem armji w życie konstytucyjne, byłoby ją może uchroniło od klęsk reakcji.

Gdy sejm został gwałtownie zamknięty przez przewódców reakcji, niezadowalniano się tem, że wytrąconono narodom Austrji z ręki broń potężną wymowy i opinji, ale zaczęto prześladować pojedynczych uczestników ruchu r. 1848. Dzieje represji po zbombardowaniu Wiednia, Lwowa i kapitulacji Węgier, nieustępują prawie co do srogości dziejom naszej nieszczęśliwej ojczyzny od r. 1864 pod rządem moskiewskim.

Leszek zdołał się usunąć przed mściwem prześladowaniem reakcji. Spędził on znaczny przeciąg czasu za granicą. — Wśród czynności sejmowej czynił on spostrzeżenia nad stosunkami politycznemi i nad działaczami najgłówniejszemi. Tych spostrzeżeń owocem jest praca publicystyczna, wydana w czasie pobytu za granicą, pod tytułem: „Sejm ustawodawczy rakuzki ze szczególniejszą uwagą na poselstwo polskie.

Epoka ta wymaga swego osobnego historyka. Jeszcze go r. 1848 nie znalazł między Polakami. A jednak stanowisko nasze w owym czasie było tak ważne, że istotnie należałoby się nad niem było głęboko zastanowić i krytycznie je rozebrać, aby mieć skazówkę na przyszłość. — Sumienne i dokładne wykonanie takiej pracy byłoby nas może uchroniło od wielu błędów, jakich się nasi późniejsi zastępcy dopuścili. Stały takiej pracy w drodze rozliczne przeszkody. Niemamy nawet materjałów zebranych dla obrobienia dziejów r. 1848 u nas. Gdyby każdy z ówczesnych działaczy, zajmujących znaczniejsze stanowisko w ruchu, podał był ze swojego stanowiska, chociażby stronniczy pogląd na wypadki, które widział i w których sam brał udział, mogłaby z łatwością powstać, tak dla nas pożądana, historja r. 1848 w Polsce. Leszka „Sejm rakuzki“ jest dotychczas jedynym polskim dziełem tego rodzaju, które zasługuje na dojrzalszą uwagę niż ją znalazło. Artystyczny sposób kreślenia charakterystyk zjednał tej książce poklask zasłużony. Zachwycali się jedni trafnemi obrazami posłów, nawet ich zewnętrznej fizjonomji, oddanej zwykle z niezrównanym humorem — inni gniewali się za to. Sejm rakuzki przyjął ogół jako pendant po Parafjańszczyzny. Sądzę, że to ocenienie stoi niżej zasługi takiego dzieła. Ależbo i parafjańszczyznę mało kto ocenił wedle jej właściwej wartości. W Sejmie rakuzkim znajdujemy pomysły i poglądy polityczne, w których dar poetyckiego widzenia spotęgował się w niektórych miejscach do stopnia przewidywania (dywinacji) politycznej. Jest to dzieło publicystyczne. Ludzie uwiedzeni humorem, sarkazmem i krytycznością poglądów Leszkowych, określili jego talent jako przeważnie „ujemny.“ Co to ma znaczyć ten talent ujemny? Oto że on podnosi plastycznie, w świetle jasnem ujemne strony naszego społeczeństwa — jego wady i braki. Ale pominąwszy iż niemasz może nic bardziej dodatniego (jeżeli się już mamy trzymać tej dziwacznej nomenklatury) jak właśnie taka ujemność; znajdujemy właśnie w tem dziele rzeczy, które nawet tacy oceniacze muszą nazywać dodatniemi. Weźmy tylko obraz Smolki. Prawda, że Leszek podnosi na wstępie humorystycznie wąsy olbrzymie Smolki do znaczenia historycznego. Ale czyż to jest ujemność? Czy nie zawiera się w tem raczej dowód niedojrzałości politycznej społeczeństwa, któremu bardziej imponują wąsy niż charakter polityczny? Właśnie w obrazie Smolki przechodzi Leszek z artystyczną zręcznością od tej błahości historycznej do charakterystyki, podnosi jego rzeczywiste znaczenie polityczne, a w tej charykterystyce samej składa poniekąd swoje wyznanie wiary politycznej. Kończąc charakterystykę okrzykiem: Niech żyje Fr. Smolka, poseł lubaczowski! okazuje Leszek, że pozostał w szeregu ówczesnej lewicy polskiej w sejmie rakuzkim. Więc już przez ten jeden zarys nacechował on oraz swoje polityczne stanowisko. Trzeba też wyznać, że został temu stanowisku wierniejszym niż wielu, może wierniejszym, niż wszyscy jego ówcześni współstronnicy. Dowodem tego jest późniejsza działalność polityczna Leszka, o której w następnym artykule pomówimy.

Kończąc zaś niniejszą część charakterystyki Leszka, nie można pominąć, że wystąpiwszy już raz jako publicysta, nie spuścił on z uwagi innych części Polski. Broszurka jego o Dziennikarstwie w W. ks. Poznańskiem, jest jakoby siostrą Sejmu rakuzkiego. Objawia się tu ta sama postępowość, ta sama swoboda myśli, niekrępowanej żadnemi ubocznemi, osobistemi względami, te same zasady polityczne i społeczne.

Równocześnie prawie ogłosił Leszek rozprawę: O najdawniejszych zabytkach pismiennych, która jest owocem jego prac naukowych i stwierdza, cośmy na początku powiedzieli, że studjum klasycznej literatury starożytnej służyło i jemu do osiągnięcia tej pewności w piórze, tej obfitości myśli i form pisarskich, tego stopnia doskonałości literackiej, jakiej nie osiągnie nigdy człowiek żywiący się tylko okruchami literatury i nauki, które się dadzą zbierać bez pracy, a niedocierający mozolnie i pracowicie do jej jądra.

Szkic z życia społecznego.

Było to na wielkanoc, gdzie krętaniny wiele a pożytku mało, jak mawiał zwykle mój sąsiad, p. Bonawentura. Człowiek się przez Wielki tydzień wyposci, a potem przez trzy dni musi jeść ex officio po ludzku. Rano w niedzielę powróciwszy z kościoła i zjadłszy z sługami — bom jak wiecie wdowiec i bezdzietny — święcone jajko,

ruszyłem jak to mówią w świat, gdzie oczy poniosą, bo mając zaprosin na ten dzień wiele, nie wiedziałem właściwie, od którego domu zacząć odwiedziny. Spuściłem się więc w tym razie całkiem na mojego Jaśka, siadłem na bryczkę nic nie mówiąc i zamknąłem oczy, wyczekując niecierpliwie, rychło usłyszę szczekanie psów i trzask z bicza, nieomylne oznaki zbliżania się do celu podróży. *Jucid in Scyllam qui vult vitare Charybdim*, mówi dawne przysłowie, w tej chwili sprawdziło się ono na mnie w całej swej treści. Jakież bowiem było zadziwienie moje, gdym się zobaczył na dziedzińcu dworu w Piotrówce i z poza firanek ujrzał palące oczy panny Izydory.

W Piotrówce mieszkał pan baron....

Egipt miał piramidy i sfinksy, Grecja filozofów i bohaterów, Rzym trybunów i Cezarów, Galicja ma baronów.

Różnie to i dziwnie plotą o powstaniu ludzi tej kategorji w królestwach Lodomerji i Galicji. Złośliwi — a gdzież braknie na takich? — wywodzą wszystkie niemal baronostwa nasze w prostej linji od Izaka i Jakóba, ludzie porządku i pracy mienią je być dowodem rozwoju społeczeństwa, postępem na drodze ciwilizacji i kosmopolityzmu. Nie mając wszak na myśli tych uczonych wywodów, zadrzałem na widok dworu barona, a zadrzałem z ważnych nader przyczyn. Macie wiedzieć bowiem, że p. baron jest żonaty i to żonaty nie na żarty. Od czasu, w którym wszedł w związek matrymonialny, zmienił się do niepoznania, ba co więcej — mówię po cichu — że baron skołatany interesami, dla spokoju świętego pomieniał się z żoną na role, inaczej powiedziawszy, baron został baronową, a baronowa baronem i dla tego to twierdzę, że baron ożenił się nie na żarty. —

Za czasów kawalerskich, kiedy w domu barona złota panowała wolność, kiedy bez glansowanych rękawiczek i fraka można było każdego czasu zajechać przed dwór piotrowiecki, byłem jednym z częstszych gości pana Makarego (Makary mu bowiem na imie). Po owem nieszczęśliwem ożenieniu, nie wiedząc nic o detronizacji barona, zajeżdżam pewnego pięknego poranku do Piotrówki, wchodzę do pokoju i zwykłym głosem pytam famulusa:

— Jest pan?

Zbladł nieborak na takie zapytanie, a chwytając mnie ręką uzbrojoną w białe niciane rękawiczki za kolana, wyjąknął nieśmiało:

— Ta jest wielmożny Panie, ale tak rano i bez *meldunku* ..

— Co ci się stało — krzyknąłem jeszcze głośniej zniecierpliwiony — dziesiąta godzina — toć przecie nie rano, a od kiedyż to u was nastał zwyczaj *meldunku?* — dodałem.

— Pani tak kazała — zakończył poczciwy Paweł, skrobiąc się w głowę.

Dzwonek z przyległego pokoju przerwał naszą rozmowę. Paweł poleciał skrobiąc się w głowę. Drzwi od pokoju, z którego odezwał się dzwonek, były dość cienkie i dzięki poczciwemu architekcie piotrowskiego dworu, obszernemi opatrzone szparami; ciekawość moja przyznaję się, nie miała granic; zrzucając przeto z siebie wszelkie decorum światowe, zbliżyłem się do owych historycznych drzwi... i... ujrzałem — przepraszam wszystkie panie jak najmocniej za moją niedeskrecję — panią baronowę w jak najokrutniejszym negliżu, szczęściem, a raczej nieszczęściem ona mnie nie spostrzegła i tym sposobem miałem sposobność być świadkiem rozmowy jej z Pawłem. Że atoli od czasu mego ostatniego przeziębienia się, które nastąpiło w skutek wywrotu, zaraz jakoś po imieninach p. Domacego, straciłem doskonały pierwiej słuch, nie mogłem więc dosłyszeć rozmowy prowadzonej z początku po cichu, gdy atoli rozkazy Pani wywołały ze strony Pawła pewien rodzaj protestacji, w czem mnie utwierdza mianowicie częste skrobanie się jego w głowę, podnosił się ton rozmowy, w skutek czego usłyszałem wyrazy: Puszczać... lada kogo... ten hreczkosiej... W końcu basem, na jaki tylko zdobyć się może głos kobiecy, usłyszałem mój wyrok:

— Idź gamoniu i powiedz że Pan spi; jak zechce, niech zaczeka w przedpokoju.

Przyznam się, że jakkolwiek arystokratą nie jestem, i dawo już odrzuciłem wszystkie staroszlacheckie tradycje, rozumie się te, które uważałem za niedorzeczne, to przecież na te wyrazy p. baronowej odezwała się we mnie żyłka ś. p. dziadka mego, który jako barszczanin i rębajło sławny, po wszystkich owoczesnych rąbał się sejmikach, i gdyby nie uwaga, że p. baronowa jest kobietą, Galicjanką i żoną Makarego, dalibóg byłbym ją wyzwał na ostre. Tą razą jednak przemógł rozsądek, tupnąłem tylko silnie, krząknąłem potężnie i splunąwszy, wyleciałem jak furja, krzyknąwszy Pawłowi do uszu:

— Powiedz twemu panu, że niech się mnie więcej niespodziewa!

Przytem wyrwało mi się jeszcze jakieś siarczyste przekleństwo, w którem było i o furach i o beczkach i nieco z elementarnych zasad arytmetyki. Tak się skończyła moja pierwsza bytność u baronowstwa. Rozgniewany niepomału na cały dom p. Makarego, byłbym nieochybnie dopełnił obietnicy danej baronowi przez Pawła, gdyby nie słodkie zaprosiny p. baronowej, która na imieninach u p. Grzegorza gwałtem wymogła na mnie przyrzeczenie, że najdalej na Wielkanoc, i to w pierwszy dzień świąt dom ich moją zaszczycę bytnością.

Pomimo nader uprzejmych zaprosin, atoli i słodziutkiej niezmiernie minki, z jaką baronowa u państwa Grzegorzów ze mną rozmawiała, stały mi żywo przed oczyma wypadki, towarzyszące ostatniej mojej wizycie w Piotrówce i dlatego omijałem dom państwa Makarych jak najskrupulatniej, zwlekając odwiedziny aż do ostatecznego terminu, którym jak to już wspominałem był pierwszy dzień Wielkiejnocy.

Z powyższego epizodu łatwo zrozumieją więc szanowni czytelnicy, dlaczego z takiem drżeniem zajeżdżałem przed dwór baronowstwa. Ostatni trzask z bicza rozległ się na dziedzińcu a z nim razem pojawiły się, jak to już wspominałem, palące oczy panny Izydory w oknie i p. baron na ganku.

— Pankrasiu kochany! a niechże cię uściskam — tak długo dać czekać na siebie, Kordzia — (p. baronowej było na imię Kordula) — oczy sobie popsuła wyglądając ciebie.

Odpowiedziawszy na uściski barona równie serdecznymi pocałunkami w oba tłuste policzki p. Makarego, zapytałem o zdrowie, o powodzenie i o magnifikę. Nowe pocałunki niedały mi dokończyć rozmowy. Wszedłem do pokoju.

— Pan nie łaskaw na nas, rzekła p. baronowa z przekąsem na wstępie, mierząc mnie od stóp do głów i podając końce palców do uścisku, przyczem sarkastyczny uśmiech ukrasił jej koralowe usteczka.

— Pani dobrodziejko! chciałem, proszę mi wierzyć, ale... jąkałem zdekoncertowany uśmiechem baronowej.

— O! ja wiem, zawsze to nieszczęśliwe ale..., gdy chodzi o dopełnienie obietnicy, danej mianowicie kobiecie.

Nieodpowiedziałem nic. Weszliśmy do salonu. Panna Izydora siedząc przy fortepianie, przywitała mnie lekceważącem kiwnieniem głowy, a spoglądnąwszy na moje nogi, wykrzywiła wązkie usteczka do pewnego rodzaju kapryśnego uśmiechu, w którym znać zarówno szyderstwo jak i nieukontentowanie. Zbity z terminu tym uśmiechem do reszty, rzuciłem mimowolnie okiem po sobie i nie spostrzegłem nic obrażającego przyzwoitość. Owe nieszczęśliwe nogi, powód zgorszenia się i złośliwego uśmiechu p. Izydory, były ubrane w jak najlojalniejsze buty kozłowe, fałdowane wprawdzie, ale nieposiadające w sobie nic takiego, coby mogło obrazić choć trochę decorum salonowe. Inexpressibilja czarnego koloru, przerażały wprawdzie może trochę swą obszernością człowieka miłującego spokój publiczny, pochodząc atoli z jednej z pierwszych pracowni krawieckich we Lwowie, temsamem mogły mieć pretensję przynajmniej do saloniku państwa Makarych.

Żupan wreszcie, pas i czamarka były wcale przyzwoitem ubraniem lojalnych nawet obywateli obojga królestw Galicji i Lodomerji. Taki przegląd ubrania mojego zaspokoił mnie nieco, usiadłem więc i śmielej nieco zacząłem:

— Panie karnawał przepędziły we Lwowie?

— A tak, odparła baronowa, bawiliśmy tam z powodu słabości męża...

— Makarego? krzyknąłem zdziwiony, spoglądając na opasłe i zdrowe oblicze barona.

Pani baronowa skrzywiła się, jakby ją kto uczęstował niesłodzonym ślazem i dorzuciła niechętnie:

— Makary cierpi już od dawna na katar nerkowy.

Przechodziłem właśnie w myśli wszystkie rodzaje chorób nerkowych — bom jak wiecie słuchał czas jakiś medycyny — i notowałem

w pamięci jak najskrupulatniej nowe nastręczające mi się zjawisko, gdy w tem otworzyły się drzwi i wpadł przez nie najprzód mops zbłocony, potem ukazała się tyka od chmielu bajecznej długości, za nią wtoczył się mały pękaty chłopiec, owoc owego nieszczęśliwego dla mnie związku p. Makarego, a nakoniec wszedł odmierzonym krokiem człowiek młody mający lat około 30tu z gęstym ciemnym zarostem na twarzy.

— Pan Palik, słuchacz praw z Krakowa, p. Baltazarowicz, nasz sąsiad — zawołał stereotypowym głosem baron. W milczeniu podaliśmy sobie ręce.

— Edziu! fe, któż widział z takim wielkim kijem wchodzić do pokoju — wycedziła p. baronowa.

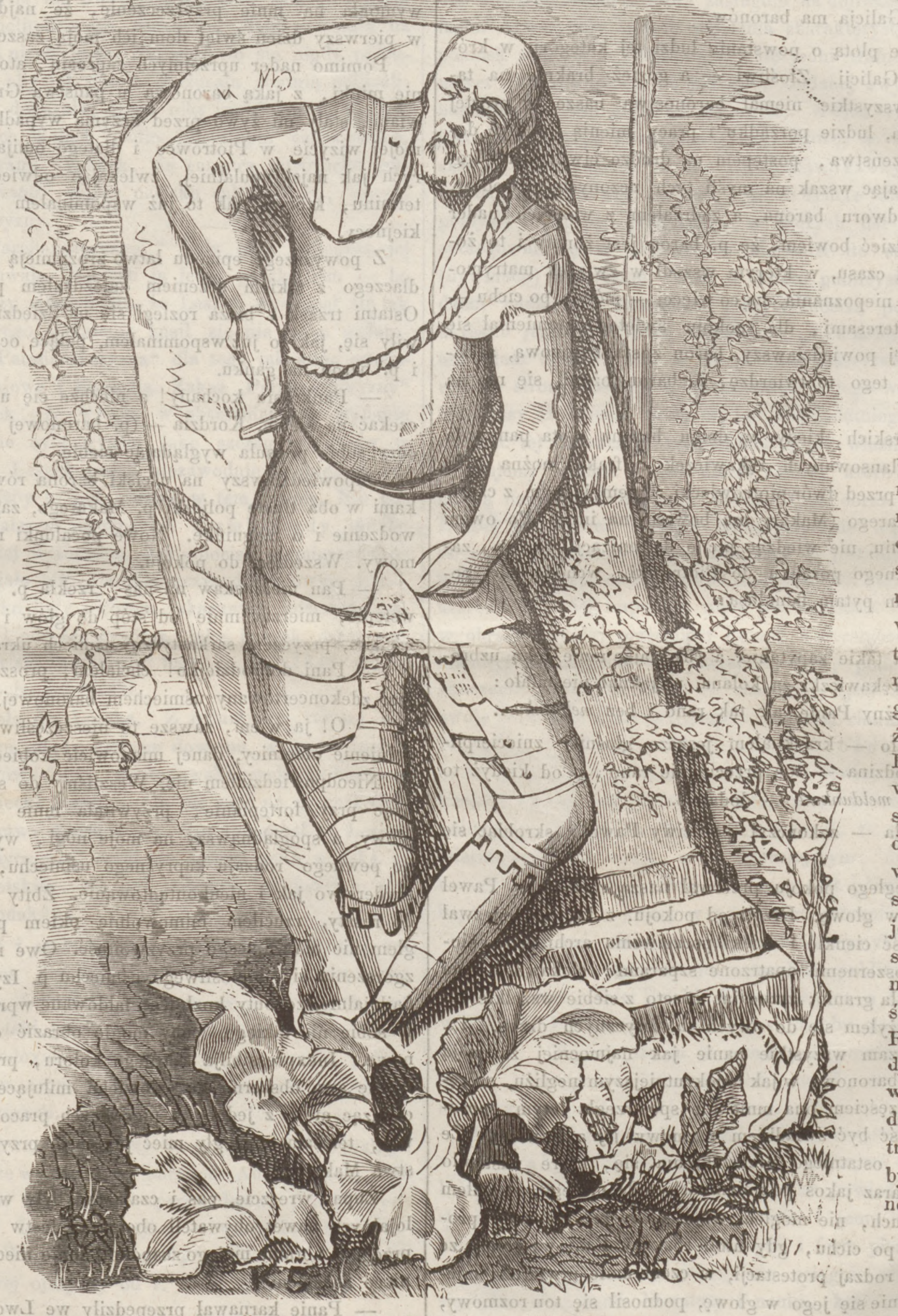
Edzio snać znał słabą stronę matki, bo cisnąwszy kij za mopsem, który tymczasem zajął obronne pod kanapą stanowisko, wpakował się bez ceremonji z zabłoconemi nogami na kolana p. baronowej.

— Edziu! bądź grzeczny, zakonkludował p. Palik, poprawiając lewą ręką kołnierzyk i chustkę na szyi. (D. n.)

Pomnik rycerza
z XV. wieku
w Jaworowie.

Zwiedzając Jaworów w r. 1855 dla zebrania rozmaitych studjów i podań ludowych natrafiłem na pomnik grobowcowy oparty o ścianę dawnej mennicy obróconej dziś na kaźnię powiatową. Rycina według rysunku z natury wykonana, przedstawia rycerza naturalnej wielkości, w zupełnej zbroi niby kutej, o formach bardzo prostych wielkich i poważnych, jakich używano w piętnastym wieku, co także poświadcza łańcuch przewieszony przez lewe ramię o po pod prawe trzymając miecz, jakoby go po za sobą rycerz trzymał. Już w r. 1855 pomnik ten, będący wydatną wypukło-rzeźbą z piaskowca, był znacznie uszkodzony; głowa i ręce bardzo ucierpiały, a stopy całkiem obtrącone, kamień zaś na dwie równe połowy rozbity. Ruch całej postaci przypomina bardzo pomniki podziemia kościoła klasztoru OO. Dominikanów we Lwowie; też sama powaga przy wielkiej a harmonijnej ruchliwości ciała, podobieństwo zbroi i w ogóle artystycznego smaku — wskazują na równoczesność epoki i powinowactwo artyzmu tych dzieł. Staruszek przyglądający się pomnikowi i zdjętemu zeń rysunkowi rzekł: „zapamiętam ja tu w ogrodzie stojących sześć takich pomników, lecz nie wiem gdzie się podziały.“ Kogo ten przedstawia, trudno odgadnąć, gdyż ani napisu ani herbu wykutego dostrzedz nie można; prawdopodobnie jest to pomnik Piotra Szamotulskiego, którego donacja z roku 1481 dla dzisiejszej fary a dawniejszego zakonu OO. Dominikanów w Jaworowie zapisaną jest w aktach kościelnych. Starożytnikom naszym mogłyby przyjść w pomoc źródła wielko-polskie. Będzie to rzeczą stosowną gdy Towarzystwo starożytnicze zechce się dowiedzieć w Jaworowie, czy pomnik ten jeszcze istnieje i w jakim jest stanie, wszak przedstawia w każdym razie męża znakomitego z najświetniejszych czasów Rzeczypospolitej, a wtedy (1855 r.) był wystawiony na słoty i uszkodzenia swawolnych psotników, jedyną ochroną były wielkie łopuchy u nóg jego bujno rozrosłe!

K. S.



Pomnik w Jaworowie. (Rysował z natury Kornel Szlegel).

Zamach Berezowskiego.

Rok 1867 przepełniony jest zjazdami i odwidzinami monarchów. Do Paryża spieszyli i spieszą jeszcze ukoronowani goście, oglądać cuda cywilizacji na wystawie powszechnej i oświadczać swoje uczucia przyjaźni dla władcy Francuzów.

Nie wahał się i car Aleksander wstąpić na tę ziemię, której synowie zawarli z Polską wśród ognia bitew wieczne przymierze; nie wahał się przechadzać po ulicach Paryża, gdzie żyje tyle żołnierzy powstańczych oddziałów, co przed kilku laty napełniały całą Polskę od Warty do Dniepru poszczękiem oręża.

Lud francuzki przyjął cara z godnością, przyjął go okrzykiem: *Vive la Pologne!* — gdziekolwiek car się ukazał, okrzyk ten powtarzał się, a widmo zamordowanego narodu zdawało się go ścigać na paryzkim bruku.

Lecz Nemezis historyczna sroższą gotowała karę. Car z synami swymi i cesarzem Napoleonem powracał z rewji wojsk w lasku Bulońskim d. 6. Czerwca, powóz jechał zwolna wśród tłumu ludności, gdy padły dwa strzały. Wypadek odwrócił dobrze wymierzony cios, kula ugodziła w głowę konia, na którym siedział oficer Rambaux, nie dosięgła piersi carskiej; tylko krew rannego konia obryzgała cara i synów jego. Była chwila śmiertelnej niepewności. Ten car, na którego skinienie przelewają się strumienie krwi niewinnej, struchlał i zbladł gdy ujrzał zbroczone posoką świetne mundury synów, a chwytając następcę tronu pytał z przerażeniem, czyli nie ranny.

Rannym był tylko sprawca zamachu, któremu pęknięty pistolet rękę skaleczył. Sprawcą tego czynu był Berezowski, małoletni chłopczyna, dziecię prawie, wyrwane z łona rodziny, którą pozostawił na Wołyniu. Ojciec jego jęczał podówczas i jęczy dotąd jeszcze w niewoli moskiewskiej doznając srogich prześladowań z woli carskiej i z rąk jego siepaczy. Egzaltowany młodzieniec powodowany pragnieniem zemsty, płynącej z uczucia miłości ojczyzny, pomny klęsk i krwawych katuszy, zadanych jej przez tegoż samego cara, którego marzył w snach swoich dziecięcych jako największego jej tyrana, pomny niemniej na nieszczęścia swoich bliskich, spowodowane tąż samą ręką — w przekonaniu, że spełnia powinność a nie zbrodnię, nie obliczając następstw dla siebie ani ważąc sądu, jaki wyda nań surowa sprawiedliwość, rzucił się z bronią w ręku, chcąc pomścić swoje i swej ojczyzny cierpienia. Nieszczęśliwego ujęto natychmiast, stawiono pod sąd. Szczegóły procesu znane powszechnie, więc powtarzać ich nie widzimy potrzeby. Wbrew oczekiwaniom Moskali zasądzono Berezowskiego nie na śmierć, lecz do ciężkich robót. W Tulonie okuto go w kajdany i odwieziono do Nowej Kaledonji. Z tąż samą nieugiętą stałością i poddaniem się woli Opatrzności jaką okazał podczas procesu, znosi on i teraz ciężki swój los.



Zamach Berezowskiego.

Listy z Pomorza dnia 15. Października 1867.

Z Pelplina jadąc ku Starogrodowi, roztacza się przed podróżującym falista okolica Pomorza, która ku północno-zachodniej stronie coraz wznioślejszą, coraz więcej malowniczą i romantycznie dziką się staje. Kto lubi wrażenia, jakie wywołują okolice górzyste, niech nie szuka Szwajcarji, niech się przejedzie ku polskiemu morzu, na Kartuzy; będzie wśród swoich używał rozkoszy, będzie oddychał jędrnym powietrzem Pomorza, a idąc dalej od Kartuz na wschód, spocznie po niewielkim trudzie w klasztorze Oliwskim, w rozkosznie położonej sobótce, opodal Gdańska, ukołysany szumem morza polskiego. — Dla czegoż dotąd malarze i poeci nasi nie zapoznali się z tem zakątkiem kraju naszego, tak pięknym, tak wsławionym w historji naszej, tyle set lat w krwi własnej przez nieubłaganego wroga skąpanym?!

Do Pelplina lud spieszył na nabożeństwo do prawdziwie wspaniałej katedry; starym zwyczajem pochwalił Pana Boga mijając nas, a niezadługo przebyliśmy zwirówką jadąc, pięknie położone i wzorowo zagospodarowane dobra Lipienki, Jabłowo i Jabłówko. Celem podróży było Bobowo, w której to wsi odbyć się miało posiedzenie Towarzystwa gospodarczego, a nazajutrz w Skorczu, wsi, jak tu zwykle wsie bywają, ludnej, porządnie zabudowanej, podobniejszej do miasteczka, aniżeli do wsi.

Kto nie widział jak lud nasz tu na Pomorzu ochoczo i rozumnie garnie się do społecznego życia, jak on to pojmuje, że spólna moc tylko zdoła nas ocalić, ten z jak najdokładniejszego opisu, pojęcia o tem mieć nie może. Zajęcie się wspólną, czy to gospodarczą, czy polityczną sprawą, rozwija się tu tak łatwo i tak naturalnie, że aż miło patrzeć. Owoc tych prac dostrzegamy z daleka w przeprpwadzaniu stałem posłów naszych na sejmy, a zbliska w coraz lepszem zagospodarowaniu się ludu kmiecego. — Zdaje się, że tu ztąd odżyje znowu, ów zamożny i tak potężny jeszcze za czasów Jagiełły stan kmiecy, tworzący stan trzeci w Polsce, najliczniejszy i nieodzowny w każdym dobrze uorganizowanem społeczeństwie.

W Towarzystwach rolniczych Prus znajdziesz samych kmieci, t. j. gospodarzy osiadłych dziedzicznie na 30, 60, 120 do 200 mórg magdeburgskich, pewną liczbę rzemieślników po wsiach rozsiadłych i kilku kupców, zbliżających się jak najchętniej do tej już uorganizowanej siły, która zbiorowo, w każdym kierunku i dla każdego jest wielkością, z którą się obliczyć trzeba.

Na posiedzeniach członkowie, wedle naprzód ułożonego porządku dziennego wszczynają rozprawy; mówiących zastęp zwiększa się co chwilę kolejno z grona pilnych słuchaczy i ta droga polska mowa nasza, przybiera w ustach ludu, który zdawało się że już przepomniał mowy ojców naszych, przybiera coraz to większą ogładę, staje się coraz czystszą, wyraźniejszą, ukształceńszą. Ale bo też są ku temu przyczyny. Z jakąż bowiem skwapliwością lud ten kochany czytuje książki, z jakąż naśladowania godną regularnością przeczytane oddaje, a zabiera nowe.

Każda zaś z tych książek, pomimo że tyle rąk przeszła i przechodzi, wygląda, jakby ją dziś od introligatora odebrano.

Częste, bo miesięczne zgromadzenia, czytanie, rozprawy publiczne, przytem życie pracowite i moralne, otóż to są środki zachowawcze, kształcące

lud polski, a wzrastający wśród niego dobrobyt i ulepszające się gospodarstwa, są owocem tego rozwoju widocznym.

Zasługa, rozpoczęcia pracy w tej tu okolicy na tem polu, należy się wyłącznie panu Edwardowi Kalkstein. On wziął wzór z działań Karasiewicza i gdy tenże wstrzymany został w zacnej pracy przez odebranie mu praw tubylca przez cały pół roku, co wywarło wpływ szkodliwy na Towarzystwa, którym przewodził, p. Edward Kalkstein prześcignął go już. — W jednej rzeczy p. Karasiewicz niezrównany dotąd, w założeniu szkółki rolniczej i Towarzystwa gospodyń. Szczęśliwa zaiste okolica, którama ludzi z charakterem nieskazitelnej prawości, którzy bezinteresownie, li tylko z miłości i obowiązku swego, chcą i umieją stanąć jako starsi bracia, ażeby

Wylać ducha na miljony,
Ciałom wszystkim, rozdać chleba,
Duszom wszystkim myśli z nieba!
Nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół,
Iść przez drugich podnoszenie,
Tak Bóg czyni we wszech świecie,
Bo cel światów — szlachetnienie!

Otóż to polska prawdziwie myśl, polska prawdziwie praca. W tej samej okolicy, gdzie pp. Kalkstein i Karasiewicz dziś mieszkają, Siegfried, komtur krzyżacki z Gniewu, ilekroć wyjeżdżał z obozu, zwykł był obciążać konia swego postronkami, i nigdy wprzód jadła ani napoju dopóty nie chciał spożywać, dopóki nie wywieszał tyle Polaków, ile był ze sobą zabrał postronków. Zacny komtur szerzył cywilizację po swojemu wśród nas, a my ją szerzemy po swojemu. Bóg nas kiedyś osądzi.

Lecz wróćmy się do rozweselających myśli, nam tego tak bardzo dziś trzeba. P. Edward Kalkstein zawiązał z jakie sześć towarzystw rolniczych, kilka towarzystw konsumpcyjnych i kilka czytelni ludowych, i pomimo pilnej około własnego majątku pracy, dzieli się z czasem swoim, jak brat z bratem z ludem polskim. Lud tameczny umie to ocenić, i aż miło wejrzeć na ten serdeczny i przyjacielski stosunek, jaki między nimi panuje. Rzewny żal opływa serce, patrząc jak to już mało pozostało nam jeszcze z zamożnej szlachty na Pomorzu, ale też za to ci, którzy pozostali pojmują swoje zadanie prawie bezwyjątkowo. Po posiedzeniu gospodarczem w Bobowie, które się o ósmej wieczorem zakończyło, zawitałem w gościnne progi domu barchnowskiego. Barchnowy były przed laty kilkunastu majątkiem małej wartości, a dziś, chociaż właściciel ani jednej skiby nie przykupił, przenosi stutysięczną wartość.

Umiejętna i stała praca, w którą włożył posag żony kilkunastotysięczny, przekształciła wydmuchy piaszczyste na pszenicodajne niwy, a w tej pracy ani serce gospodarza nie zastygło dla szlachetnych uczuć, ani umysł nie stępiał dla świata.

Szukamy nieraz pięknych gospodarstw za granicą, a znalazlszy jaki zakątek rozgłośny jak Moeglin n. p. przez lat 60, wierzymy jak w Ewangelję, że tam tylko rozumu nabrać możemy. Iluż rozczarowanych wróciło z Moeglina, zanim rząd sam go zamknął! Co do mnie wolałbym wyszukiwać swojskie, niegłośne a zasłużone gospodarstwa. Tu na Pomorzu n. p. któż nie zna koleje Chwarzna, kto zapomni gospodarstwo w Obozinie? Tam praca dokonana świetnie zatryumfowała, Chwarzno położone w okolicy, gdzie lud dawniej krowy nie mógł przezimować dla braku siana, dziś zaopatruje tysiącami centnarów okolice sianem, a lud mu błogosławi.

Chce kto widzieć dokonującą się użyteczną pracę, i podobnego rodzaju, niech spieszy do Smolążka, tam co tylko rozpoczętą została, a za lat kilka dopiero się skończy. *Bolesław Prawdzic Chotomski.*

Przegląd artystyczny.

— Przed kilku tygodniami przyozdobione zostało wielkie przedsienie prowadzące do klasztoru OO. Dominikanów we Lwowie obrazem starożytnym. Obraz ten zdobił aż do r. 1748 jedną z kaplic dawniejszego kościoła dominikańskiego. Przy waleniu dawniejszego kościoła, przeniesiono ten obraz na kurytarz, ztąd zaś na strych, pomiędzy stare rupiecia. Poruszenie sprawy restauracji pomników, znajdujących się w katakumbach tegoż kościoła, zwróciło uwagę i na inne zabytki, znajdujące się zaniedbane i zapomniane po składach tegoż klasztoru. Wydobyto więc i ten obraz i oddano do restaustauracji p. K. Szleglowi. Sumienna ręka i wprawny pędzel restauratora, potrafiły resztki tego zabytku nie tylko od dalszego i zupełnego ochronić zniszczenia, ale co więcej, przyprowadzić go do dawnego pierwotnego stanu. Obraz ten przedstawia Matkę Boską siedzącą na tronie, u stóp której po prawej stronie klęczą dygnitarze państwa, na których czele Zygmunt August, u nóg którego napotykamy wszystkie oznaki władzy świeckiej, po lewej zaś klęczą dygnitarze kościoła z rozrzuconemi u nóg oznakami władzy kościelnej. U samego zaś dołu obrazu po prawej i lewej stronie klęczą fundatorowie kaplicy, w której ołtarzu tenże obraz aż do zburzenia dawnego kościoła się znajdywał. Bliższych szczegółów o obrazie tym nie znamy, ogłoszenie takowych byłoby nader ciekawem, widząc bowiem u góry klęczącego Zygmunta Augusta, przypuścićbyśmy mogli, iż z czasów panowania jego pochodzi ten obraz, gdy przeciwnie ubranie klęczących u dołu fundatorek kaplicy (na szyjach których znajdujemy „kryzy,“ wprowadzone dopiero za Zygmunta III. do Polski) zmusza nas zabytek ten policzyć pomiędzy zabytki z 16 stulecia.

Gospodarstwo i przemysł.

— **Kredyt i banki.** Z postępem ludzkości, z rozwojem potrzeb naszych, z wydoskonaleniem rolnictwa, handlu i przemysłu, z wynalazkiem maszyn a wskutek tego rozwinięciem się fabryk na ogromną skalę, praca ekonomiczna coraz większych wymaga zasobów, aby wypełnić kanały, skierowane do głównego punktu, do rozlicznych gałęzi produkcji krajowej. Aby różnicę między dawnymi nakładami a dzisiejszymi zasobami uwidocznić, zwracamy uwagę na młyny. Dawny młyn wodny czy wiatrowy zaledwie kilkadziesiąt dziennie zmłacał korcy zboża, podczas gdy obecnie parowe młyny dziennie dziesięćkroć tyle wyrabiają. Ta sama różnica objawia się we wszystkich gałęziach gospodarstwa, bo i w rolnictwie robocizna była za czasów pańszczyznianych najmniejszą rubryką wydatków pieniężnych właściciela, podczas gdy dziś stanowi ona główną ich cyfrę. Zastanówmy się dalej nad ogromem kapitałów pieniężnych, których wymaga budowa kolei żelaznych. Podczas gdy jedna mila drogi murowanej kosztuje 80.000 złr., koszta budowy jednej mili kolei żelaznej wynoszą 600.000 do 1 miljona złr. Do roku 1864, do którego nie wykonano jeszcze wszystkich niezbędnych dla handlu linji, na budowę kolei wydano w Anglji przeszło 4 miljardy, we Francji 3 miljardy, a nawet w ubogiej Austrji blisko 1.000 miljonów złr.

Liczby powyższe dosadnie przekonują czytelnika o potrzebie miljonowych kapitałów, które corocznie obiegają w handlu, przemyśle i gospodarstwie; a ponieważ w żadnem państwie niema i niemoże być tyle gotówki, iżby ta wystarczyła na pokrycie wszystkich wydatków i zakładów, przeto umysł ludzki tak skory do wynalazków i odkryć, zastąpił pieniądz kredytem, który mu dostarcza kapitały do zaspokojenia codziennie wzmagających się potrzeb gospodarczych.

Kredyt aczkolwiek oddawna znany, bo już w najdawniejszych czasach wypożyczano sobie pieniądze, dopiero w naszem stuleciu stał się obfitem źródłem, zasilającym wszystkie gałęzie produkcji. Jest on obecnie potęgą, która obala wszelkie trudności materjalne, wspiera dobrobyt, mnoży bogactwo narodów i indywiduów, lecz z drugiej strony drużgocze częstokroć majątki nagromadzone pracą skrzętną, gnębi mniej zasobnych, a będąc spólnikiem bogatych, staje się tyranem ubogich. Kredyt tylko dla tych jest dobrodziejstwem, którzy go użyć umieją, podczas gdy użyty przez nieświadomych lub lekkomyślnych naraża na największe straty materjalne. To też jest powodem, iż niektórzy są zaciętymi jego zwolennikami, podczas gdy inni utyskują na niego, przypisując mu wszystko złe w obecnym rozwoju materjalnym, upadek dobrobytu pojedyńczych i klas całych, bankructwa i t. d.

Kredyt, dostarczając nam potrzebne kapitały, do prowadzenia przedsiębiorstw lub gospodarstwa, dostarcza jedynie środki pieniężne od innych, u którychby one leżały bez użytku, lub dozwala nam korzystać z przyszłych naszych wpływów pieniężnych, z wartości ziemi, którą posiadamy, a której na razie nie możemy użyć jako kapitał obiegowy. Ztąd też kredyt jest albo osobistym, albo realnym hipotekarnym; pierwszy zasadza się na mniemaniu, jakie o nas drudzy mają i na naszej rzetelności; drugi na wartości naszej własności. Pierwszy jest częstokroć pewniejszym aniżeli drugi, większe też kwoty dostarcza kredyt ruchomy, osobisty, aniżeli realny, ugruntowany na hipotekach.

Pierwotnie zajmowali się wypożyczaniem pieniędzy, tychże wymianą, udzielaniem gotówki na zastaw i podobnemi czynnościami tylko bankierowie, później zaś banki najpierw za pomocą rządu, dalej na podstawie stowarzyszenia, na akcjach założone. Dziś niema większego miasta, gdzieby niebyło banków, których zadaniem pośredniczenie między potrzebującymi i posiadającymi kapitały. Bank biorąc od jednych kapitały na niższy procent, udziela je innym za nieco wyższy, lub wystawiając skrypta, obligi, listy zastawne, obowiązuje się takowe w pewnym czasie lub za okazaniem wymienić na gotówkę.

W ostatnich latach liczba banków powiększyła się niezmiernie, a zyski z nich wynikające, pociągały do naśladownictwa tak, iż obecnie ilość ich przewyższa niemal potrzebę, wskutek czego w Anglji i Ameryce banki udzielają bardzo nierozważnie kredyt, co jest powodem licznych tam bankructw. U nas w kraju prócz kredytowego instytutu, który tylko ograniczony dawał kredyt właścicielom dominikalnym, niemieliśmy przez dłuższy czas żadnych banków, aż nagle od kilku lat wyrastają one jak grzyby po deszczu. Czy handel i gospodarstwo krajowe osiągnęły z nich korzyści, trudno odpowiedzieć, bo w początkach nieumiejąc użyć ich należycie, czę-

stokroć niepotrzebnie i nie w celach produkcyjnych zaciągaliśmy pożyczki. Dlatego tylko tych nie narażają banki nasze na zguby i straty, którzy kredyt im udzielony rozsądnie używają, lub którym one zastępują lichwiarzy, dostarczając daleko tańszy kapitał.

Banki byłyby dla nas pożądańsze, gdyby były krajowymi, bo natenczas i zyski z nich płynące pozostałyby w kraju, a jeszcze bardziej gdyby zasilały rolnictwo, które zawsze pozostanie główną gałęzią produkcji krajowej, na które jednak banki nasze, prócz nowozałożonego hipotecznego, wcale niebrały względu.

Jakiemi kapitałami banki rozporządzają, łatwo pojmiemy, jeśli zważymy, iż w samej Ameryce roczny obieg banków wynosi 79 miljardów dolarów; we Wiedniu 13 miljardów złr., a nawet we Lwowie w trzech tylko filjach banków wiedeńskich przeszło 20 miljonów.

Odkrycia i wynalazki.

— **Przyrząd do obłuskiwania ziarna.** Niejaki p. Fleischer zamieszkały w mieście Studenicach w gubernji mohylewskiej, a trudniący się urządzaniem młynów parowych, wynalazł sposób oddzielania łuski od ziarna. Za pomocą tego sposobu obłuskiwa się ziarno zupełnie tak, że nawet w dołkach nie ma ani trochy łuski: przytem ziarno nie jest ani złamane, ani zgniecione. Czyszcząc mocniej, można zupełnie zdjąć wszystkie części łuski (epidermis, epicarpis i endocarpis). Otręby odchodzące przy obłuskiwaniu 6% nie zawierają w sobie nic a nic mąki, pyłu i brudu i dla tego mogą stanowić bardzo wyborny materjał do robienia papieru i innych technicznych wyrobów.

— **Gaz rozweselający.** Do związków ubezczulających za pomocą nowych przyrządów, przybywa obecnie pierwszy tlenek azotu, zwykle gazem rozweselającym zwany. Odkrył go Priestlej w r. 1767, sławny chemik Davy doświadczył na samym sobie dziwnych jego własności fizjologicznych i pozostawił zajmujący opis wrażeń wywołanych przez oddychanie tym związkiem, z którego parę ustępów przytaczamy.

„Oddychałem gazem czystym przepełniającym usta smakiem słodkawym, powiada Davy, i bezzwłocznie uczucie nadzwyczajnej wrażliwości objawiło się we wszystkich członkach, odróżniłem wyraźnie najmniejszy szmer w pokoju, nie tracąc świadomości otaczających mnie przedmiotów. Uczucie rozkosznej błogości wzrastało stopniowo; świat zewnętrzny powoli znikał, a szereg nowych obrazów przesuwał się przed oczami, rodząc wrażenia całkiem nowe. Byłem w usposobieniu tworzenia teorji, dokonywanie odkryć, gdy z tego rozkosznego zachwytu zbudził mnie doktor **Kinglake** odjąwszy od ust giętkę.

„Oddychałem gazem zaledwie 3 i pół minuty, jakkolwiek czas wydał się mi nieporównanie dłuższy, mierząc go ilością i żywością otrzymanych wrażeń; nim te całkowicie znikły, postanowiłem wzionąć jeszcze gaz pozostający. Objawy podobne poprzedzającym powtórzyły si· ; w ciągu dwóch godzin ulegałem wpływowi nieokreślonej wesołości. Obiadowałem z apetytem, z humorem wybornym, wieczór spędziłem na przygotowaniach do doświadczeń, pełen sił i zadowolenia, spałem doskonale i obudziłem się nazajutrz z uczuciem radośnego wesela, które mnie nie opuszczało przez dzień cały.

Pogadanki tygodniowe.

— *Servus* Stasiu!... Czy wiesz, co się stało?...

— No... mów... mów Adasiu!...

— Rewolucja w Rzymie!...

— Stara rzecz!

— Ale jaka rewolucja a!... Słowo honoru!... Ostatnia depesza... Papieża wypędzili... kapitol wysadzili w powietrze... Garibaldi ogłoszony Piusem X...

— Ej...

— Słowo honoru... Ale... ale... patrz nadbiega Jacenty.

— Jak się macie! Wiecie ostatnie nowiny?... W Rzymie spokój... Żuawi papiezcy złapali Garibaldego i zamknęli w klatce... Trzy tysiące czerwonych koszul przywieziono do Rzymu... Wiktor Emanuel dostał pomieszania zmysłów...

Te i tym podobne brednie słyszałeś po wszystkich ulicach Lwowa w ostatnim tygodniu... One to stanowiły treść główną miejskich pogadanek. Jak zajmująco sprawa rzymska dotąd stoi, wiedzą czytelnicy z gazet politycznych, a my zarejestrowawszy kilka tych niewinnych wiadomostek pp. alarmujących pseudo-polityków, wracamy do zwykłego kronikarskiego użalenia się na.... pustki; i tak:

Pustki w kieszeniach, rzecz widoma, o czem więc i mówić nie warto,.. pustki w teatrze, o czem także mówić nie warto, gdy jednak niema mówić o czem inszem, naruszymy bodaj teatralnych pustek... złośliwe języki przypisują tu winę dyrekcji... „Gapiątko,“ choćby najnaturalniej przedstawione, „Żony zwodzące mężów“ stara jak świat historja, „Ubodzy w Paryżu,“ który i u nas nie są tak wielką rzadkością bibljograficzną, w końcu „Szatani“ i ich przerażające „Pamiętniki,“ nie zdołają zainteresować wybredniejszej części publiczności — według wreszcie upartego przekonania tych stronniczych malkontentów... Śmią nawet utrzymywać, że odbieranie ról ulubionych pani A., B. lub C., a przydzielanie takowych pannie X., Y. lub Z., zniechęca do reszty poczciwiuteńką z kościami publiczność; szczególnie, jeśli to się dzieje dla... przypuśćmy n. p... dla próby...

Lecz cóżto?... Jakby sprawką „kulawego djabełka“ wpada nam przypadkowo pod rękę odwieczny numer paryskiej „Charivari,“ podającej następującą illustrację do historji teatrów w Paryżu: mamy przed sobą wnętrze teatru: na deskach lamentują przed pustemi ławkami bohaterki i amantki nad swą daremnie przepłaconą toaletą; w budce chrapi poczciwy jenjusz opiekuńczy artystów szczególnie dla niektórych lwowskich niezbędny, pan sufler; na budce oparł się drzemiący z laseczką w dłoni pan kapelmistrz; orkiestra odpoczywa swobodnie na swych miejscach, rzuciwszy się po trudach dziennych w miękkie objęcia ojca Morfeja; a kasjer melduje zrospaczonemu dyrektorowi: „dochód w kasie franków trzy! Centimów 25! Jeden fałszywy!“

Dodać jednak musimy, że stosuje się to tylko do pory letnej w Paryżu — podczas gdy u nas praktykuje się coś podobnego i teraz — chociaż powoli zagaszcza się zima...

— Oj ta zima!... zawoła kronikarz zadowolony, do kłopotów na głowy padłszy stereotypowego swego tematu... Przeklęta zima!... Tyle nowych podtatusiałych patrów familias... Dzieciąt lubych z pół tuzinka... a paliwo drogie; katary, reumatyzmy, kaszle i strzykania... a apteka droga; żoneczka nie chce być uważaną za domatorkę... a tu nadchodzą wieczory, wieczorki i wieczóreczki, herbaty i herbatki, a w odległej perspektywie na zasępionem widnokręgu małżeńskiego pożycia rysuje się w mglistej oddali po skromnym poście bundziuczno nadbiegający karnawał... Istotny kar-nawał!...

A tu drożyzna!... Ba, i coraz większa! A produkta coraz gorsze. Szczególnie u nas we Lwowie, gdzie nadjeżdżający panowie gospodarze nie mogą się z nimi w żaden żywy sposób pogodzić!

A teraz małą ploteczkę...

Już widzę, jak szanowna czytelniczka, potąd obojętna i pół na pół o czem innem zamyślona, n. p. o sukni z długim ogonem „a la princesse“ pani komornikowej, lub niezrównanej zarzutce o długich kutasach na wystawie u Kühmayera, lub o aksamitnym malutkim grzybku — kapelusiku ze złotem obgarnirowaniem za szkłem u Lewickiego, lub nareszcie o wielu innych niemniej interesujących i ważnych rzeczach.., naraz zatrzymuje się na tem magicznem słowie... przysuwa się bliżej do eleganckiego stoliczka podpiera piękną główkę rączkami, i z uśmiechem zadowolenia na ustach z lekkim kolorkiem ciekawości na licach, odczytuje z zajęciem po raz wtóry:

Że pan Iks ma ładną żonę, nic w tem dziwnego; najpierw dla tego, że Iksowa należy do płci pięknej; a po drugie dla tego, że nic to nadzwyczajnego mieć ładną żonę. Ale pan Iks ma przyjaciela, a to nie jest rzeczą zwykłą na świecie mieć przyjaciół, nb. przyjaciół, nie pożyczających od nas pieniędzy na wieczne nieoddanie, a nie mających pretensji towarzyszenia nam w obiadach, ogrywania nas w karty i t. d.

Pan Ypsylon nie miał żadnej z tych wad i dla tego był prawdziwym przyjacielem pana Iksa; a że był prawdziwym jego przyjacielem, a więc mającym ten sam gust co p. Iks, nic dziwnego, że był zarazem przyjacielem pani Iksowej.

Pani Iksowa i pan Ypsylon żyli więc w czułej przyjaźni...

Ba!... P. Ypsylon nieoszacowanym był przyjacielem dla państwa Iksów, gdyż pan Ypsylon miał mająteczek, a pan Iks go nie miał... Wycieczki, herbatki, polowanka sprawiane przez pana Ypsylona, zadawalniały pana Iksa i zaprzyjaźniały coraz czulej panią Iksowę z przyjacielem męża... całkiem naturalnie... ślepego i głupiuteńkiego jak na męża przystoi...

Raz pani Iksowej zachciało się zegarka. Zegarek kosztował 120 fl. Pan Iks ani wiedzieć chciał o takim wydatku. Płacze i spazmy doprowadziły go do wyrzeczenia, że złożonych 60 fl. da, ale nic więcej, pewny, że za tę sumę zegarka nie kupi.

Pani Iksowa na to była panią Iksową, aby wpaść na kobiecy koncept...

Pan Ypsylon zastaje ją smutną i dowiaduje się, że za 60 fl. mąż jej nie chce jej kupić zegarka... Jako przyjaciel uczynny, zapytuje delikatnie o sklep i wyglądanie zegarka i t. d. Pani Iksowa po odejściu przyjaciela rzuca się mężowi na szyję i uradowana donosi mu, że zegarmistrz spuścił na 60 fl.; wyciąga skrzywionemu Iksowi sześćdziesiątkę, biegnie do zegarmistrza, płaci mu połowę całej wartości, prosząc pod sekretem, aby wydano zegarek panu, który po niego przyjdzie i aby mu zaceniono tylko brakujące 60 fl.

Pan Ypsylon przyszedłszy nazajutrz do sklepu, gdy ujrzał pyszny zegarek, za który żądano tylko 60 fl.: kupuje go za tę cenę i wracając mówi do siebie: Taki zegareczek za 60 fl.! Niesłychane dziwy!... Szkoda go dla Iksowej, która mi się nadto sprzykrzyła... Otóż nie... Dam go pannie Irenie, spiewaczce opery, którą do reszty podbiję...

I tak się stało...

Zostawiam domysłom czytelników scenę małżeńską u pp. Iksów... Nie wiem zresztą jak się wytłómaczyła żona ze zniknięcia 60 fl., zegarka i przyjaciela domowego...

Szanowni Czytelnicy i lube Czytelniczki... czy mam wyciągnąć z tej przygody sens moralny?...

A może to tylko ploteczka!... *A. U.*



Mody na miesiąc Listopad.

Strój męzki. Paleto jesienne z materji wełnianej koloru ciemno brunatnego, na dwa rzędy guzików, z krytemi kieszeniami, oblamowane w około.

Strój damski. a) *Salonowy.* Suknia z wysokim stanem, z materji czerwono brunatnej (Popelin) ozdobiona frędzlami i lamówką z ciemnej kitajki;

b) **Strój na ulicę.** Paleto zwane „Eugenia“ z materji wełnianej koloru jasnego, ozdobione wstążkami szerokiemi, koloru czarnego z białą lamówką, spadające z pod kokardy w kształcie fontazia na plecy. Kieszenie kryte szerokie. Lamówka w około paletotu koloru czarnego.

Strój dziecięcy. Paleto dla dziewcząt od lat 5ciu do 7mu z materji wełnianej, z dwoma rzędami czarnych rogowych guzików. Lamówka w około koloru jasnego.

Najnowsze kaczki telegraficzne.

Paryż. Marszałek sejmu galicyjskiego występował wczoraj w teatrze cesarskim w St. Cloud w roli bohatera komedji p. t. „Poczciwcy.“ Publiczność przyjęła artystę żywemi oklaskami i okrzykami *Vive la Pologne!* zkąd naturalny wniosek rychłego odbudowania Polski.

Pekin godz. 4. min. 5. sek. 8. z południa. Wieża porcelanowa zawaliła się w tej chwili w wielkim łoskotem, gruzy zasypały 6 ludzi i 2 redaktorów pekińskich „Gazet.“ *)

*) Redakcja gwarantuje, że wiadomość ta nie ulegnie sprostowaniu.

Konkurs.

„Sokół“ lwowski z powodu opróżnienia kilku naczelnych posad przez wystąpienie ludzi zdrowych, poszukuje kilka kalek bądź z zakładu św. Łazarza, bądź z innych instytutów krajowych, którym zamierza powierzyć swoje kierownictwo.

— Powiedz mi Protaziu kochany jakie jest podobieństwo pomiędzy piekarzami a rzeźnikami?

— Takie tylko, że jedni nam coraz bardziej dopiekają, a drudzy nas coraz lepiej orzynają.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

J. Osiecki, wydawca. Redaktor odpowiedzialny: Dr. H. Jasieński. Druk Kornela Pillera.